

Ks. Paweł Łukaszka

---

## Prawo łaski i łaska wolności. Wspomnienia o Ojcu Profesorze Bernhardzie Häringu jako człowieku i kapłanie

### Uwaga pierwsza

Duchowo wzrastałem dzięki Kościołowi katolickiemu, którego drzwi wiary otwarli mi rodzice i krewni. To oni byli pierwszymi nauczycielami o Jezusie i Jego Ewangelii. Wielka pomoc w tym ważnym procesie mojego życia przychodziła od kapłanów, moich duszpasterzy. W duchowym i intelektualnym rozwoju pomagali mi też wychowawcy i nauczyciele ze szkoły, a później profesorowie ze studiów. Ale bywało i tak, że duchowa i moralna siła wpływała do mojego wnętrza dzięki przygodnie spotkanym osobom, które wywarły na mnie duże wrażenie swoją dobrocią i wspaniałomyślnością. Oni sami nie wiedzieli, jak głęboko dotknęli mojej duszy. I co zrobili dla mnie i innych. Takich momentów nikt mi wcześniej nie zapowiadał, a pozostały trwałe i widoczne jako znak niewidzialnej łaski.

Im jestem starszy, tym bardziej odczuwam wdzięczność za to, że ci ludzie wciąż istnieją w moim życiu. Miłosiernemu Bogu dziękuję za nich, za ich duchową istotę oraz za to, że pokazali

mi charakter głębią swego człowieczeństwa. A myśląc o nich, odczuwam ich bliskość, wzajemną radość. I przy tym doświadczam czegoś, czego nie można do końca wyrazić samymi słowami. To coś daje mi impuls do działania, do kontynuowania dzieła, które wypełnia duchowy sens mojego ludzkiego bycia, mojego powołania. Do takich właśnie ludzi, których spotkałem na drodze mojego życia, należy niewątpliwie Ojciec Profesor Bernhard Häring, redemptorysta.

#### Uwaga druga

Moje wspomnienia o Ojcu Profesorze Bernhardzie Häringu są raczej świadectwem niż referatem. Nigdy, w żaden sposób nie narzucałem się pisaniem listów do Ojca Profesora, wiedziałem, jak bardzo jest zajęty. I nie zdarzyło się, bym do niego napisał, jeśli nie otrzymałem odpowiedzi, poza pierwszym wysłanym do niego listem. Pamiętam dobrze, że na przełomie 1997/1998 roku długo czekałem na jego odpowiedź. Przez prawie rok nie miałem od niego żadnej informacji. I wówczas, nieoczekiwanie, otrzymałem list. Okazało się, że był jego ostatnim do mnie, dokładnie trzy miesiące przed jego odejściem z tego świata. Nawet przez myśl mi wówczas nie przeszło, że kiedyś w przyszłości, po latach, znajdę się w takim gronie księży i braci redemptorystów, i będę miał możliwość mówienia o Ojcu Profesorze Bernhardzie Häringu, moim niezapomnianym nauczycielu życia i wiary, w dwudziestą rocznicę jego śmierci.

Kilkunastoletnia korespondencja z Ojcem Profesorem stanowi wielką przygodę na drodze mojego kleryckiego i kapłańskiego życia. Każdy list, każda kartka z życzeniami i pozdrowieniami, a szczególnie każda książka, osobiście wysłana do mnie przez

o. Bernharda, jest dla mnie bardzo ważna i sentymentalna. Jest darem i niejako pieczęcią kogoś, kto zdobył moje serce i pociągnął mnie do tego, abym bardziej szukał Jezusa w każdym człowieku, a w znakach czasu dostrzegał jeszcze bardziej głębię Bożej Opatrzności. Czas, kiedy otrzymywałem korespondencję i książki od Ojca Profesora, był dla mnie wyjątkowy i pełen nadziei. Na zawsze pozostanie też w moim sercu i w mej pamięci osobiste spotkanie z o. Häringiem w Gars am Inn, w sierpniu 1993 roku zbawienia.

#### Uwaga trzecia

Moje więzi z o. Bernhardem Häringiem pragnę przedstawić w trzech nurtach. Każdy z nich jest żywym konkretem jego życia. Tymi strumieniami płynie prawo łaski i łaska wolności. Oczywiście, siłą tych strumieni jest zawsze miłość Chrystusa, którą pragnął żyć i w niej umierać jeden z największych redemptorystów XX wieku.

I tak, w pierwszym nurcie ukażę dom rodzinny o. Häringa. Jego doświadczenia z II wojny światowej jako sanitariusza. Jego związki z Polakami w Jastarni. W drugim popłyną wspomnienia z mojego osobistego spotkania z nim w Gars am Inn. Natomiast w trzecim ukażę wybraną korespondencję z Ojcem Profesorem, bez żadnych komentarzy. Na koniec pragnę przytoczyć modlitwę o. Bernharda, która często jest też moją własną.

---

## Nurt pierwszy

---

### Dom rodzinny

Bernhard Häring urodził się 10 listopada 1912 roku w wiosce Böttingen w Badenii–Wirtembergii. Był jedenastym z dwanaściorga dzieci i jak każde z nich był upragniony i kochany. Dwoje z jego rodzeństwa zmarło w wieku dziecięcym. Najstarszy brat Henrich zginął podczas I wojny światowej. Wezwanie do wojska otrzymał wówczas także ojciec Bernharda, ale wobec obaw o los rodziny pozostawionej bez opieki drugi co do starszeństwa syn Häringów, Wenzel, postanowił zgłosić się w jego zastępstwie. Po trzech latach wojny powrócił schorowany do domu. Pomimo tych doświadczeń nadzieja i ufność w Bogu pozostały w rodzinie Häringów niezwyknięte. Bernhard miał wówczas sześć lat. Pozostało mu ośmioro rodzeństwa, z którego pięć siostr (Konstanza, Walburga, Rosa, Agatha i Elisabeth) zostało później zakonnicami. Maria Ursula wyszła za mąż i miała dziewięcioro dzieci, a jeden z jej synów, również Bernhard, śladem swojego wuja i imiennika został redemptorystą. Zmarł w wieku 50 lat. Starsi bracia, Wenzel i Martin, wyjechali do USA i tam założyli rodziny.

Ojciec Bernharda Johannes był rolnikiem. Pochodził z zamężnej rodziny. Jego rodzice mieli karcznię i browar. Swoim dzieciom opowiadał, że często wstydził się jeść chleb z grubą warstwą masła, podczas gdy jego rówieśnikom brakowało nawet samego chleba. Johannes Häring był pracowity, rozważny i stanowczy, a przy tym bardzo religijny. W każdą niedzielę przystępował do komunii św. Często na prośbę sąsiadów pisał dla nich listy. Gdy w 1933 roku do władzy doszedł Hitler i każda rodzina otrzymała radioodbiornik, ojciec Bernharda odmówił przyjęcia

„prezentu od przywódcy”. Rodzinie wytłumaczył, że póki w radiu będzie występował ten przestępca, w ich domu nie będzie żadnego odbiornika. Kilka lat później matka Bernharda Franziska zachowała się bardzo podobnie. Gdy rząd Hitlera przyznał jej złoty Krzyż Matki jako wyróżnienie dla kobiet, które urodziły i wychowały dla Trzeciej Rzeszy dużo dzieci, powiedziała przedstawicielowi partii, który przyszedł do jej domu, że odznaczenia nie przyjmie, bo żadnego dziecka nie urodziła ani nie wychowała dla narodowego socjalizmu, lecz wyłącznie dla Boga. Johannes Häring bywał impulsywny, choć jak się zdaje, Bernhard zbytnio tego nie doświadczył. Dwaj starsi bracia opowiadali mu, jak pewnego dnia ojciec sprawił im lanie. Reakcja matki była spokojna, lecz stanowcza: „Janie, twoja ręka jest za ciężka. Następnym razem mnie zostaw karanie”. Od tego momentu ojciec, jak twierdzili bracia, stawał się coraz łagodniejszy i powściągliwszy.

Franziska Häring również należała do osób bardzo religijnych i pobożnych. Dla Bernharda i jego rodzeństwa była najcudowniejszą wychowawczynią i nauczycielką życia. Uczyła ich ogromnej wrażliwości na potrzeby drugiego człowieka, zwłaszcza biednego i cierpiącego. Ojciec Bernharda krótko przed śmiercią wyznał mu: „Twoja mama była dla mnie żywą Ewangelią”. Przycho-dzących do ich domu żebraków niezmiennie nazywała gośćmi. Wpajała swoim dzieciom od najmłodszych lat, że odwiedzanie chorych i niedołączonych jest zaszczytem i duchowym obowiązkiem. Znosiły im więc kanapki, obiady i najpotrzebniejsze rzeczy. W domu Häringów zawsze na pierwszym miejscu była modlitwa i ukierunkowanie całego życia na Boga. Często modlili się wspólnie na różańcu bądź z książeczki. W długie zimowe wieczory matka czytała dzieciom Biblię i żywoty świętych. Na ich

przykładach tłumaczyła im prawdy i tajemnice wiary chrześcijańskiej. Rano i wieczorem znaczyła ich głowy wodą święconą. Później, gdy nieco podrosli, robili to sami, bo w domu była kropielniczka. Dom rodzinny w naturalny sposób przypominał im kościół.

Ważnym momentem w życiu Bernharda Häringa była Pierwsza Komunia Święta. Gdy jego mama była zbyt pochłonięta domowymi obowiązkami, w przygotowaniu do sakramentu pomagała mu starsza siostra, Konstanza. W tym najpiękniejszym dniu życia była dla niego najlepszą towarzyszką. Zaraz po przyjęciu komunii wyznał jej: „Wiesz, Konstancjo, chciałbym zostać świętym”, na co ona odpowiedziała zdecydowanie: „Dlaczegoż by nie!”. Miał wówczas zaledwie 10 lat, a jego siostra już wtedy szła drogą świętości (później została siostrą zakonną). Dwa lata później Bernhard zwierzył się mamie, że pragnie zostać misjonarzem. Usłyszał wtedy: „Jeszcze żaden święty nie spadł z nieba. Trzeba być wytrwałym i cierpliwie pracować nad swoim charakterem”. To pouczenie zapamiętał na całe życie.

### Czas wojny

Bernhard Häring został wyświęcony na kapłana w maju 1939 roku. W niedzielę, gdy miał odprawić swoją pierwszą Mszę św., lało jak z cebra. „O tej porze roku dłuższy rzęsy deszcz to znak obfitego błogosławieństwa”, mawiał po latach, ale też trudno mu było oprzeć się wrażeniu, że taka pogoda może wróżyć coś więcej. „Czy w kapłańskim życiu, które tak rozpoczynam – myślał – nie przyjdzie mi czasem przemoknąć do suchej nitki?” Pod koniec życia wyznał mi, że to nieprzyjemne przeświadczenie nie było tylko jego udziałem, ale że podobne odczucia miało wielu

innych kapłanów. Mimo to nigdy nie żałował swojej decyzji zostania księdzem i do końca życia powtarzał, że jest radosnym redemptorystą.

Wkrótce po prymicjach, gdy o. Bernhard był już gotowy do wyjazdu na misje, przełożony, ten sam, który sześć lat wcześniej mu to obiecał, oznajmił, że plany Zgromadzenia wobec niego się zmieniły. Grono profesorskie wyższej uczelni mieszczącej się w klasztorze zdecydowało, że powinien podjąć dalsze studia doktoranckie z zakresu teologii moralnej. Młody kapłan był tym zupełnie zaskoczony i oszołomiony. Wcześniej interesował się historią, filozofią, socjologią, dogmatyką, fascynowała go też egzegeza Pisma Świętego, ale nie teologia moralna. Na tych wykładach zwyczajnie przysypiał. Wprost powiedział więc przełożonemu, że teologia moralna jest według niego beznadziejnie nudna, i przytoczył słowa Paula Claudela: „Jezusa kochamy sercem, ale moralności tego rodzaju miłością nie pokochamy za żadne skarby świata”. W odpowiedzi usłyszał od przełożonego: „Dobrze się składa. Pójdiesz studiować teologię moralną, by w przyszłości ją zmienić. Ożywisz ją tak, by przestała być nudna”. Nie było mu łatwo zaakceptować tę decyzję. Mimo to w duchu posłuszeństwa podjął się tego zadania.

Jesienią 1940 roku o. Häring został wykładowcą w Gars am Inn, a wkrótce potem immatrykulował swój doktorat na teologicznym fakultecie w Tybindze. Pracę doktorską, zatytułowaną *Das Heilige und Das Gute. Religion und Sittlichkeit in ihren gegenseitigen Bezug*, napisał pod kierunkiem ks. prof. Theodora Steinbüchela. Tytuł doktora teologii moralnej otrzymał jednak dopiero po wojnie, w 1947 roku.

Doświadczenia czasu wojny wycisnęły niezatarte piętno także na życiu o. Bernharda. Już w listopadzie 1939 roku jako jeden

z pierwszych katolickich kapłanów niemieckich został skierowany na ośmiotygodniowy kurs służby medycznej, aby zostać sanitariuszem. Sanitariuszami w hitlerowskiej armii zostawali ci kapłani, którzy z różnych powodów nie mogli zostać kapelanami wojskowymi. Ci ostatni musieli bowiem podpisać deklarację lojalności wobec Hitlera. Jeśli kapłan tego nie zrobił, nie wolno mu było pełnić posługi duszpasterskiej w czasie działań wojennych ani na froncie, ani w bazach wojskowych. Przełożeni redemptorystów na mocy konkordatu – na tyle, na ile jeszcze był respektowany – nie wyrazili zgody, by duchowni z ich Zgromadzenia podpisywali taką deklarację. W ten sposób o. Bernhard został sanitariuszem i pełnił tę służbę przez pięć lat wojny. To była jego wielka misja. Został posłany na „pustynię śmierci”, aby nieść ludziom nie tylko uzdrowienie ciała poprzez pracę sanitariusza, ale przede wszystkim po to, by jako człowiek i misjonarz uzdrawiać dusze i bronić godności ludzkiej. Bynajmniej nie szedł tą drogą samotnie. Gdziekolwiek się znalazł, był z nim Chrystus, który go posłał i w którym odnajdywał źródło wody żywej i uzdrawiającej. Chociaż nie wolno mu było wypełniać praktyk duszpasterskich wobec bliźnich, zwłaszcza udzielać sakramentów świętych, od początku swojej służby sanitarnej, niezależnie od tego, gdzie stacjonował, o. Bernhard odprawiał Mszę św. zarówno dla niemieckich żołnierzy, jak i dla ludności cywilnej. Nie zrażały go kary ani nagany. Nieustannie nosił na piersiach Ciało Chrystusa, by dawać potrzebującym braciom i siostrą pokarm duchowy. Nosił też ze sobą olej święty, którym namaszczał chorych i cierpiących, najczęściej przygotowując ich na śmierć. Spowiadał katolików, ewangelików i prawosławnych. Nie zwracał uwagi na pochodzenie i przynależność religijną czy narodową. W drugim człowieku



widział obraz cierpiącego Pana Jezusa. Był pielgrzymem i misjonarzem Boskiego Lekarza; dając napotkanym ludziom wiatyk, pokarm pełni życia, dawał im Chrystusa, który jest Drogą, Prawdą i Życiem. Zdecydowanie odrzucił służbę dwóm panom.

Wierność powołaniu i nieustanna komunია św. wypchnęły o. Bernharda na głębię życia misyjnego. Jego fundamentem jest świadczenie o obecności Boga żywego, którego miłość, jako łaska wszelkich łask, objawiła się w Chrystusie Jezusie, Synu Bożym. Początkowo o. Bernhard stacjonował we Francji, niedaleko Bayeux. Najpierw przy zamkniętych drzwiach odprawiał Mszę św. dla niemieckich żołnierzy. Miał duże szczęście, bo lekarz ich oddziału (w stopniu pułkownika) również był katolikiem. Gdy sprawa wyszła na jaw, otrzymał od niego jedynie formalne upomnienie i ostrzeżenie. To go wcale nie zraziło. Potem, gdy dowiedział się, że w Bayeux nie ma niedzielnej Mszy św., choć stacjonowało tam dużo żołnierzy, postanowił ich odwiedzić i wspólnie z nimi celebrować Eucharystię. Do miejscowej katedry przysłała spora liczba wiernych, byli wśród nich również Francuzi. Odtąd w każdą niedzielę na Mszy św. gromadziło się coraz więcej ludzi i były one coraz bardziej uroczyste. Powstał nawet chór, który śpiewał podczas liturgii. Po pewnym czasie ten sam pułkownik, który go wcześniej upomniał, wezwał go do siebie i oznajmił, że to wstyd, kiedy ludzie widzą, jak kapłan dojeżdża do katedry na rowerze, i przydzielił mu samochód z kierowcą! Czy to nie łaska? Podobnie było na ziemiach okupowanej Polski. W 1941 roku dywizja pancerna Wehrmachtu, w której służył o. Bernhard, stacjonowała przy granicy z Rosją, w pobliżu Sokółki. W okolicy nie było kościoła, więc żołnierze gromadzili się w szopie i tam nasz misjonarz odprawiał Mszę św. Z czasem zaczęli na nią przychodzić

Polacy, a później o. Bernhard zaczął sprawować Eucharystię specjalnie dla nich. Chrzczył też polskie dzieci. I tak urzeczywistniało się królestwo Boże na „pustyni śmierci”. Strumienie wody żywej popłynęły do ludzi. Studnią, z której o. Bernhard czerpał dla siebie i dla innych „wodę życia i wodę uzdrowienia”, było przede wszystkim jego własne serce zanurzone w Sercu Jezusa. Z tego przebitego Serca tryskają strumienie miłosierdzia, które dają poranionemu człowiekowi miłość Bożą.

Tak samo było też w kolejnej miejscowości, gdzie stacjonował o. Bernhard – Narwi. Również tam otaczał opieką duszpasterską polską ludność cywilną. Podstawą jego misyjnej działalności było przede wszystkim głoszenie obecności Chrystusa w Eucharystii. Gdziekolwiek się znalazł, dzielił się z ludźmi Chrystusem, dawał im Boga. Czy można dać drugiemu człowiekowi coś więcej? Takiej działalności nie sposób ukryć. „Tak niech świeci wasze światło przed ludźmi – mówi Pan Jezus – aby widzieli wasze dobre uczynki i chwalili waszego Ojca, który jest w niebie”. Dobrzy ludzie zawsze znajdą i rozpoznają podobnych do siebie. A przecież każdy człowiek ma w sobie zaszczerpane pragnienie dobra. Chodzi wyłącznie o to, by je urzeczywistnić. Stawać się dobrym i dzielić się swoim sercem to najpewniejsza droga do sławy i pomnażania dobra. O. Bernhardowi nie chodziło oczywiście o sławę w rozumieniu świata i ludzkiej próżności. Taka sława jest ulotna, fałszywa i nieraz zdradliwa. On zaś nie szukał pochwały siebie i nie chciał, aby ludzie czynili z niego bohaterą. Pragnął jedynie, aby poznawali w słowie Bożym, które niósł swoim życiem, Chrystusa, Boga będącego Miłością. Jedynie Boża Miłość stanowi ognisko wszelkiej dobroci serca. Rzeczywiście Bóg jest dobry i tylko Jemu należą się adoracja i cześć.

Sam o. Bernhard również doświadczył wielu łask i dobroci innych, nawet nieprzyjaciół. Gdy trafił na front w pobliżu Charkowa, razem z trzema kompanami znalazł się w niebezpiecznej sytuacji. Była zima, a jeden z jego kolegów był ciężko ranny. Nie było innej rady i trzeba było poprosić „wroga” o pomoc. Weszli do pierwszej napotkanej ukraińskiej chaty i zostali tam, o dziwo, bardzo serdecznie przyjęci. Gospodarz wyjął spod podłogi słoninę, a jego żona rozmiękczyła na parze wysuszony chleb. Napoili ich też gorącym mlekiem. Po pewnym czasie gospodarz zaproponował, że pomoże im dostać się do niemieckiej bazy, gdzie znajdował się polowy szpital. Żegnając się z tą rodziną, o. Häring zapytał ich wprost, dlaczego im pomogli, chociaż w tej niesprawiedliwej i okrutnej wojnie są po przeciwnej stronie. Gospodarze odpowiedzieli: „Wy także macie rodziny i z pewnością wasi bliscy codziennie proszą Boga, byście szczęśliwie wrócili do domu. Mamy czterech synów na tej wojnie. Jeśli byśmy wam nie pomogli, to jakże moglibyśmy dzisiaj modlić się do Boga o ich szczęśliwy powrót do domu?”. Dopiero wtedy o. Bernhard wyznał im, że jest księdzem. Na te słowa gospodarze osłupieli. Po policzkach spłynęły im łzy. Wszyscy – zarówno gospodarze, jak i ich dwie córki – uklękli i poprosili o Boże błogosławieństwo, a na koniec wspólnie się pomodlili. Od bardzo dawna nie gościli w swoim domu kapłana.

W maju 1942 roku, podczas drugiej bitwy pod Charkowem, o. Bernhard został ciężko ranny. W tym samym czasie zginęło pięciu innych żołnierzy z jego jednostki. Lekarz pułku uznał, że stan kaprała Häringa jest na tyle ciężki, iż musi zostać odtransportowany do Niemiec. Powrót nie był miły. Znalazł się w towarzystwie powierzchownych i twardych żołnierzy z oddziału SS.

Pomimo ciężkich ran stale sobie nawzajem docinali i odnosili się nieprzyzwoicie do sióstr zakonnych, które pracowały jako sanitariuszki Czerwonego Krzyża, usługując im z wielką pokorą i miłością. O. Bernhard był również mocno rozgoryczony postawą żołnierzy leczonych w wojskowym szpitalu w Dillingen. Na jego sali leżało dwudziestu pięciu mężczyzn. Większość z nich złościła się i bluźniła z powodu bólu i cierpienia, jakie musieli znosić. Przed śmiercią rozpaczali. Na początku na sali słychać było tylko przekleństwa. Wiele z nich było skierowanych pod adresem katolickich sióstr zakonnych, które z oddaniem usługiwały chorym. Stopniowo jednak ta przygnębiająca atmosfera zaczęła się zmieniać. Mężczyźni, szczególnie jeden żołnierz SS, zaczęli zwracać uwagę na ofiarność zakonnice. Pewnego dnia jeden z nich zapytał swego sąsiada: „Jak myślisz, czy siostry mogły słyszeć nasze ostre i obraźliwe słowa?”, tamten zaś odpowiedział: „Chyba nie, bo w żaden sposób nie zareagowały”. Siostry nikogo nie próbowały umoralniać ani nawracać. Ukazywały swoją wiarę służbą i życiem. Nie zwracały uwagi na obelgi i mocno ufały, że każdy z leżących tam jest z natury dobrym człowiekiem.

Gdy o. Häring odzyskał zdrowie, powrócił na front wschodni. Na początku lutego 1943 roku, w bitwie pod Stalingradem, po raz kolejny doświadczył Bożej łaski. Został – wraz z kilkoma kompaniami – uratowany przez miejscową ludność cywilną przed sowiecką niewolą. Ludzie ci ukryli ich przed Armią Czerwoną, a potem pomogli im przedostać się do macierzystej jednostki. Nasz sanitariusz poznał wówczas księdza prawosławnego, z którym, po jakimś czasie, wspólnie się modlił. Miejscowi bardzo to sobie cenili.

W wielu sytuacjach o. Bernhard często pomagał też cywilom jako sanitariusz, dzięki lekarstwom, które stale ze sobą nosił.

Nie zwracał przy tym uwagi na to, kim był człowiek potrzebujący pomocy. Z czasem miejscowa ludność cywilna dowiadywała się o tej jego działalności i na różne sposoby próbowała się z nim skontaktować, a on nigdy nie odmawiał pomocy. Z tego powodu często był szykanowany i narażony na gniew otoczenia, szczególnie dowództwa Wehrmachtu i SS. Nie zrażał się tym. Czynił dobro, jak potrafił. Był wierny swoim przekonaniom niezależnie od okoliczności i sytuacji. W sercu powtarzał sobie, że trzeba być życzliwym z życzliwymi i na ile to możliwe, żyć przyjaźnie ze wszystkimi.

#### Jastarnia i polscy przyjaciele

Po klęsce Niemców w Gdańsku o. Bernhard wraz ze swoją jednostką przedostał się na Półwysep Helski. Okopali się w lesie między Jastarnią a Helem. W tym czasie żołnierze Wehrmachtu bardziej niż zwykle potrzebowali pomocy kapłana sanitariusza. Pewnej niedzieli, gdy o. Bernhard sprawował Eucharystię dla licznych żołnierzy, katolików i protestantów, ich dowódca, kapitan Gerhardt, jadąc konno i widząc, co się dzieje, zaczął złośliwie przeklinać. Był zagorzałym ateistą i przedstawicielem partii w ich oddziale. Szybko jednak zorientował się, że swoim zachowaniem rozwścieczył zgromadzonych żołnierzy, więc zaraz zniknął. Mógł donieść na o. Bernharda, gdyż ewidentnie przekroczył on prawo, lecz tego nie zrobił. Okazał się przy tym sprytnym dyplomatą. Wysłał kaprała, by zwrócił redemptoryście uwagę, że to karalne i pod żadnym pozorem nie wolno mu tego robić – na odprawienie Mszy musi mieć za każdym razem pozwolenie. Co więcej, nawet jeśli je wcześniej uzyska, powinien też uzgodnić z nim treść kazania. O. Bernhard odpowiedział mu jednak, że nigdy

nie zrezygnuje z posługi duszpasterskiej i nie zdepcze godności chrześcijanina, ustalając z ateistą, co ma mówić podczas kazania albo jak ma głosić Ewangelię Mateusza czy Marka. Dodał, że jest gotów powiadomić żołnierzy o tych niegodziwych warunkach, od których spełnienia ma być uzależnione celebrowanie i przeżywanie Mszy św. Kapitan Gerhardt nic na to nie odpowiedział, o. Bernard liczył się więc z tym, że być może będzie chciał przeszkodzić w odprawieniu niedzielnej Mszy. Nie chciał jednak z tego powodu rezygnować z celebracji. Zaczął więc szukać innego wyjścia. Dowiedział się, że w pobliżu w Jastarni stacjonuje dr Wegemann, lekarz całego pułku. Przedostał się więc do niego i przedstawił mu sytuację. Doktor dał mu dokument zaświadcający, że jest potrzebny w Jastarni. Dzięki temu mógł w dowolnym czasie opuszczać obóz. W ostatnich miesiącach wojny w niemieckim wojsku panował wielki rygor i bezwzględny zakaz opuszczania miejsca stacjonowania jednostki. Za naruszenie go groził sąd wojskowy i wyrok śmierci. Dzięki uzyskanemu dokumentowi o. Bernhard mógł celebrować Mszę św. w kościele w Jastarni nie tylko w niedzielę, ale również w dni powszednie. Na niedzielną Eucharystię przychodziło tam wielu niemieckich żołnierzy, do których coraz liczniej dołączała ludność miejscowa, czyli Polacy. Mszę św. o. Bernhard sprawował oczywiście w języku łacińskim. Zaprzyjaźnił się też z tamtejszym kościelnym – Alfonsem Konkem. Stopniowo zdobywał coraz większe zaufanie miejscowej ludności. Prosił go o Msze św. i chrzest dla swoich dzieci, widzieli w nim nie tyle sanitariusza wrogiej armii, ile dobrego człowieka i duszpasterza. Taka działalność pastoralna i misyjna, zwłaszcza wśród Polaków, bardzo drażniła kapitana Gerharda. Dwa razy przesłuchiwał o. Häringa, nie chciał jednak

robić z niego męczennika za wiarę. Oskarżał go jednak o defetyzm, brak wiary w zwycięstwo, o wrogie nastawienie do wojny i do Führera oraz o przyjazne kontakty z Polakami. W czasie wojny, zwłaszcza w ostatnich jej tygodniach, takie zarzuty były równoznaczne z wyrokiem śmierci. Kapitan krzyczał do swoich podwładnych: „Zanim pójdziemy do niewoli, Häring dostanie kulę w łeb”.

Po kapitulacji Niemiec o. Bernhard razem z innymi żołnierzami został wzięty do sowieckiej niewoli. Trafił do obozu jenieckiego w pobliżu Jastarni. Z jednej strony odczuwał radość, że wojna się już skończyła, z drugiej zaś towarzyszyła mu dojmująca niepewność jutra. Starzy i doświadczeni żołnierze Wehrmachtu i SS płakali i rozpaczali. Piekło wojny się skończyło i dopiero teraz zaczęli rozważać, w czym uczestniczyli i co zrobili. Wiedzieli, że za popełnione zło trzeba będzie zapłacić, ale nie wiedzieli, jaką cenę. Co się z nimi stanie? Czy zostaną rozstrzelani, tak jak sami rozstrzeliwali? Czy zostaną wywiezieni w głąb Rosji? Czy Polacy będą się na nich mścić? W tych ciemnościach szukali pociechy i umocnienia u swego „doktora-sanitariusza” i kapłana, a on ożywiał w nich nadzieję, by mogli cierpliwie znosić te udręki duszy.

Gdy Polacy z Jastarni dowiedzieli się, że „ksiądz sanitariusz” został uwięziony przez Sowietów, usiłowali go uwolnić. Pewnej nocy w obozie jenieckim zjawił się wspomniany kościelny z Jastarni, Alfons Konke. Odnalazł o. Bernharda i powiedział nagłym tonem: „Przyniosłem sutannę księdza proboszcza, spodnie i buty. Proszę się szybko przebrać. Mam też potrzebne dokumenty. Wszystko jest już w tajemnicy załatwione z Rosjanami. Chcemy, aby ojciec zastępował teraz naszego księdza proboszcza, którego wcześniej Gestapo wywiozło z naszej parafii”. Dzięki

pomocy polskich parafian o. Bernhard Häring opuścił obóz sowiecki. Został duszpasterzem w Jastarni. Zamieszkał w domu kościelnego i od razu zaczął wypełniać duszpasterskie obowiązki. Odprawiał Mszę św., wspierał ludzi, pomagał w odbudowywaniu kościoła. Przeprowadził remont dachu, uporządkował świątynię i przygotował plebanię na powrót proboszcza, ks. Stefańskiego. Musiał przy tym bardzo uważać. Wokół było wielu sowieckich żołnierzy, którzy szukali niemieckich zbiegów. Mimo to nikt go nie zdradził i nie wydał bolszewikom.

Parafianie z Jastarni bardzo kochali swego proboszcza, ks. radcę Pawła Stefańskiego. Wielką radość sprawił im jego powrót. Przybył on do parafii bardzo schorowany. Wiedział już o obecności młodego niemieckiego redemptorysty, podczas pierwszego spotkania poprosił go więc, by zamieszkał razem z nim na plebanii. Chociaż o. Bernhardowi dobrze było u kościelnego Alfonsa, z wdzięcznością przyjął zaproszenie. Mimo różnicy wieku szybko nawiązali nić porozumienia. Pierwsza prośba ks. Stefańskiego skierowana do redemptorysty bardzo go zaskoczyła. Stary proboszcz poprosił go bowiem o spowiedź św. „Z czego chce się spowiadać ten szlachetny i uwielbiany przez wszystkich proboszcz?” – zastanawiał się o. Bernhard. Później zrozumiał, że chodziło przede wszystkim o zaufanie. Do ostatniego dnia jego pobytu w Jastarni obaj kapłani nawzajem się spowiadali. Ks. Stefański był dla młodego redemptorysty jak ojciec. Nie był zbytnim legalistą, ale ucieleśnieniem starego dobrego wzorca polskiego kapłana i wspaniałym człowiekiem o niezwykłej osobowości. O. Bernhard wiele się od niego nauczył. Wspominał później, że usłyszał od proboszcza, iż on sam jest starej daty, a Bernhard jest



młody, dlatego mogą się wzajemnie uzupełniać. Zaproponował mu coś ważnego: każdy z nich miał postępować w zewnętrznej i wewnętrznej wolności, do której przywykł. O. Bernhard od razu zrozumiał, że nie powinien rezygnować z korzyści, jaką daje mu uczenie się mądrości życia od starego doświadczonego proboszcza. Chciał też dobrze poznać osobliwość polskiego charakteru i tradycję miejsca, w którym się znalazł.

Pewnego razu stary proboszcz bardzo zachorował. Miał blisko czterdzieści stopni gorączki. Mimo to poprosił o. Bernharda o brewiarz. Ten odparł: „Piąte przykazanie mówi, aby dbać o zdrowie. W takim stanie jest się zwolnionym z brewiarza”. Ks. Stefański odpowiedział słabym głosem, delikatnie się uśmiechając: „Oczywiście, masz rację, ale nie rozumiesz jeszcze dobrze ludzkiej słabości. W tej sprawie mam własne zdanie. Jako młody kapłan przyrzekłem sobie, że nigdy nie zaakceptuję usprawiedliwiania się z jakiegokolwiek powodu, bo w przeciwnym razie gdzież powiedziałbym sobie »dosyć«?”. Kiedy mu się nieco polepszyło, odmawiał brewiarz, siedząc na fotelu z fajką w ręku. Długo wyjaśniał o. Bernhardowi, dlaczego tak robi: po pierwsze, żeby nie zasnąć, po drugie, bo lubił kłęby dymu, które – jak twierdził – symbolizowały mu codzienną ofiarę. Mijały tygodnie i miesiące. Wierni z parafii pod wezwaniem Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny w Jastarni coraz mocniej przywiązywali się do „wikarego” z Niemiec. Proboszcz Paweł Stefański był dumny z ich postawy – wyciągnęli o. Bernharda z sowieckiego obozu, serdecznie przyjęli go do wspólnoty parafialnej, a co najważniejsze, nikt z mieszkańców Jastarni nie zdradził młodego kapłana.

## Nurt drugi

---

### Spotkanie z Ojcem Profesorem Bernhardem Häringiem

13 sierpnia 1993 roku około godziny osiemnastej zapukaliśmy z ks. Ireneuszem Okarmusem do furty klasztoru redemptorystów w Gars am Inn. Furtianowi powiedziałem, że jesteśmy z Polski i przyjechaliśmy do o. Bernharda Häringa. Wiedział, że byliśmy umówieni. Zaprowadził nas do refektarza, gdzie zakonnicy jedli kolację. Powoli podszedł do nas o. Bernhard i serdecznie się z nami przywitał. Potem wskazał nam miejsce przy stole i usiadł razem z nami. Pytał, czy bardzo błędziliśmy, jaką mieliśmy podróż i czy bardzo jesteśmy nią zmęczeni. Mówił też o uchodźcach z byłej Jugosławii, którym udzielają schronienia, i jak na różne sposoby im pomagają. Pokoje, w których mieliśmy mieszkać, były już przygotowane.

Jeszcze tego samego wieczora o. Häring pokazał nam klasztor i domową kaplicę. Klasztor w Gars am Inn powstał w XII wieku jako monaster benedyktyński. Po wielu wiekach otrzymali go augustianie, a po nich – w drugiej połowie XIX wieku – redemptoryści. Następnie o. Bernhard pokazał mi swoją celę. Był to dość obszerny pokój, z biurkiem, szafą i umywalką. Na biurku stała stara maszyna do pisania i leżało kilka książek. Byłem zaskoczony, nie znajdując w nim dużego księgozbioru. Wprawdzie była tam biblioteczka, ale raczej niewielka. „Korzystam z klasztornej biblioteki” – powiedział z właściwą sobie skromnością, gdy go o to spytałem. Nie było tam ani jednej zbędnej rzeczy.

Podczas rozmowy z o. Bernhardem byłem bardzo onieśmieszony i przejęty. Na zdjęciach, które widziałem wcześniej, zdawał

się wyższy i tęższy. Tymczasem okazało się, że był drobnym i niezwyczajnie delikatnym staruszką. Jego oczy i twarz od pierwszego wejrzenia mówiły, że głównym jego pokarmem są modlitwa, dobroć i trud życia, a być może także cierpienie. Głos miał cichy i łagodny. Mówił bardzo wolno, przez brzuch, wskutek operacji na raka krtani.

Zacząłem od podziękowań – za modlitwy w mojej intencji, za listy i kartki z życzeniami, a także za wszystkie otrzymane książki. Wyznałem, że bardzo martwiłem się jego zdrowiem.

O. Bernhard opowiedział mi o swojej chorobie. W 1977 roku zachorował na gardło. Okazało się, że jest to nowotwór krtani. Przeszedł trzy bardzo ciężkie operacje. Przez pewien czas w ogóle nie mówił. Jego metodą walki z rakiem były modlitwa i post. Poprosił lekarzy, aby pozwolili mu na odbycie czterdziestodniowego bardzo surowego postu. Twierdzili, że nie ma wielkich szans, by go w pełni wyleczyć, przystali więc na jego prośbę. Z uśmiechem powiedział mi: „Modlitwą i postem skazałem ten nowotwór na śmierć głodową i tak, z łaską Pana, go pokonałem”.

Drugi dzień naszego pobytu w klasztorze rozpoczął się od modlitwy, medytacji i Najświętszej Eucharystii w kaplicy. Przewodniczył o. Bernhard. Powiedział na początek, że z miłością Boga Ojca, łaską naszego Pana Jezusa i jednością Ducha Świętego przychodzi do nas dzisiaj Maksymilian Maria Kolbe, wielki świadek wiary i życia w obozie koncentracyjnym w Auschwitz.

Po śniadaniu poszliśmy na wspólny spacer. O. Bernhard opowiedział nam o błogosławionym redemptoryście o. Kasperze Stangassingerze, który pięć lat wcześniej został wyniesiony na ołtarze przez naszego czcigodnego papieża Jana Pawła II. Był wspólnym nauczycielem i wychowawcą. Zmarł w 1899 roku, mając

zaledwie dwadzieścia osiem lat. Ojciec Profesor zaprowadził nas do jego grobu w tamtejszym kościele. W pamięci utkwiła mi jego życiowa dewiza: „Kto się nie modli, nie jest chrześcijaninem, a kto się źle modli, jest oziębłym chrześcijaninem”.

Potem poszliśmy w stronę cmentarza. Zacząłem rozmowę na temat modlitwy. Zapytałem o Bernharda, kto nauczył go się modlić. Przystanął na moment, podniósł w górę swoją laseczkę i skierował wzrok ku niebu. Mówił z wielkim przejęciem: „»Ojciec nasz, któryś jest w niebie...« To jest modlitwa Jezusa. On nas jej nauczył. Od Niego mamy tchnienie, Jego Duch to sprawia. Mnie nauczyli tej modlitwy rodzice, ale najwięcej uczyłem się modlić od dobrych ludzi w czasie wojny na ziemi ukraińskiej, rosyjskiej, a w szczególności od polskich przyjaciół. To jest najpiękniejsza modlitwa”.

Ojciec Profesor zwierzył mi się wtedy, że zamierza napisać jeszcze krótki komentarz do Modlitwy Pańskiej. I rzeczywiście, po trzech latach książka ta ukazała się drukiem i otrzymałem ją od niego. Była jedną z jego ostatnich. O. Bernhard pragnął, aby każdy chrześcijanin mógł wzrastać i stawać się żywym komentarzem do Modlitwy Pańskiej. Miał też wielką nadzieję, że ta modlitwa, zarówno jako uwielbienie Boga, jak i jako modlitwa prośby oraz program życia, autentycznie stanie się osobistą modlitwą wszystkich chrześcijanin.

### O Soborze Watykańskim II

Podczas tej rozmowy zadawałem wszystkie te pytania, które chciałem zadać już wcześniej, ale nie było ku temu odpowiedniej okazji. Wiedziałem, że już od pięciu lat jest na emeryturze i że wrócił do Gars am Inn po trzydziestu ośmiu latach pobytu

w Rzymie. Chciałem wiedzieć, czy tęskni za Akademią Alfonsjańską i jak teraz patrzy na środowisko rzymskie. Odpowiedział z lekkim uśmiechem, że kilka lat temu wysłał mi swoją książkę *Meine Erfahrung mit der Kirche*, w której obszernie pisał na ten temat. Watykan, mówił, to przede wszystkim papież i jego otoczenie, a największym wydarzeniem w dziejach Kościoła, jakie miało miejsce za jego życia, był Sobór Watykański II. Był nieco zawiedziony tym, że mimo upływu lat ciągle tak mało biskupów i kapłanów interesuje się tym wydarzeniem, chce poznać i szereg jego ducha. To sprawia, że nauka soborowa pozostaje niezrozumiała i traktowana z dużą ignorancją zarówno przez katolicką opinię publiczną, jak i w światowych mediach. Zdarzało się, że sami duchowni zaciemniaли głębię i dobro tego dzieła. Powstały liczne interpretacje interpretacji soborowych dokumentów i nie zawsze dobre ich przekłady. Osoby wypowiadające się na temat soboru często gubiły sens i ducha, jaki przyświecał ojcom soborowym. Niemały i zarazem destrukcyjny wpływ miały na to niekompetentne i wrogie Kościołowi środki masowego przekazu. Często wypaczały one sens nauki wiary wyrażony w konstytucjach, dekretach i deklaracjach tego największego pod względem liczby uczestników soboru Kościoła katolickiego.

W czasie obrad Soboru Watykańskiego II o. Bernhard miał bardzo dużo pracy. Zajmował się roboczymi schematami do konstytucji duszpasterskiej o Kościele w świecie współczesnym *Gaudium et spes*. Uważał, że myśl soborowa dotyczy przede wszystkim Ducha Świętego, który jest *sui generis* sprawcą *aggiornamento* w naszym Kościele. Przecież właśnie dzięki Parakletowi każdy z nas może rozumieć prawdę o Chrystusie i Jego Kościele. „Pamiętam – mówił – jak krótko przed uroczystym rozpoczęciem

Soboru Watykańskiego II ks. kard. Léon-Joseph Suenens powiedział mi: »Ojciec Häringu, jesteś przypadkiem beznadziejnego optymisty«, ale po zakończeniu obrad wyznał: »Poszło dużo lepiej, niż mógł się ojciec spodziewać«. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu o. Bernhard został powołany na sekretarza komisji konstytucji duszpasterskiej o Kościele w świecie współczesnym. Jej przewodniczącym był bp Emilio Guano, bardzo odważny ojciec soborowy. Po drugiej sesji soborowej wspólnie zaproponowali papieżowi Pawłowi VI, aby powołano do pracy w ich komisji również biskupów z za żelaznej kurtyny; chodziło o kraje wschodniej Europy. To dzięki temu wstawiennictwu do pracy nad tym dokumentem dołączył arcybiskup z Krakowa, Karol Wojtyła. I przez to zaistniał na soborze.

Później, gdy ze względu na zły stan zdrowia bpa Guano jego miejsce zajął kard. Gabriel-Marie Garrone, o. Häring stał się jedynie nominalnym sekretarzem tej komisji. Wyznał mi jednak, że w tę konstytucję włożył najwięcej czasu i energii. Kard. Fernando Cento, przewodniczący komisji mieszanej, który był o. Bernhardowi bardzo życzliwy, publicznie nazwał go nawet *quasi-pater Gaudium et spes*. Oczywiście o. Häring uznał to sformułowanie za przesadę, ale pokazuje ono dobitnie, że jego wkład w pracę nad tym dokumentem był dobrze widoczny.

Wielką przeszkodą w pracy soboru była „zbytня sakralizacja języka łacińskiego”, uznawanego przez starszą generację hierarchów za podstawę do dalszego dialogu nad formami życia kościelnego. Wynikało z tego, że języki innych ludów nie mogą być nośnikami świętej liturgii, służby Bożej. Problem sakralizacji i desakralizacji świata jest zawsze otwarty – mówił Ojciec Profesor podczas naszego spaceru. Niekiedy nawet sekularyzacja

(dobrze rozumiany pluralizm) jest dobra i pożądana. Istnieje jednak różnica pomiędzy sekularyzacją (*Säkularisation*) a sekularyzowaniem (*Säkularisierung*) świata. To drugie prowadzi donikąd. Dotyczyło to zagadnienia autonomii rzeczy doczesnych. Jednak dialog był istotnym i kluczowym pojęciem Vaticanum II, a sakralizacja języka łacińskiego wyraźnie stała mu na przeszkodzie. Słowo „dialog” (*Zweigespräch*) wielokrotnie powracało w czasie naszej rozmowy.

W 1964 roku o. Häring został poproszony o przeprowadzenie rekolekcji wielkopostnych w Watykanie. Wspominając to wydarzenie, mówił, że był bardzo zaskoczony tym zaproszeniem. „Gdy zapytałem papieża Pawła VI, jaki życzyłby sobie temat tych wielkopostnych ćwiczeń duchowych i jak mam się zwracać do niego i do innych uczestników rekolekcji, powiedział: »Ojcze, tu nie chodzi tylko o moje czy twoje zbawienie, ale przede wszystkim o to, by te rekolekcje pomogły Kurii Rzymskiej otworzyć się na naukę i ducha Soboru Watykańskiego II. I nie trać czasu na niepotrzebne tytuły. Możesz rozpoczynać od słów ‘czcigodni ojcowie’. To w zupełności wystarczy. Głoś bez żadnego lęku. Mów do nas jak zawsze, z pełną mocą Ewangelii. Nie lękaj się! Bądź odważny!« Te słowa Papieża bardzo mnie ucieszyły i umocniły”.

Przygotowując się do tych rekolekcji, o. Bernhard sięgnął po dzieło swojego patrona, św. Bernarda z Clairvaux: *De consideratione, ad Papam Eugenium*. Są to rozważania o życiu duchowym, szczególnie o modlitwie i roztropności, napisane dla ucznia, wcześniej cystersa, a później papieża Eugeniusza III. „Wiedziałem – stwierdził o. Bernhard – że jest mi daleko do świętości i męstwa św. Bernarda, mojego patrona, ale słowa papieża Pawła VI dodały mi odwagi”. (Długo szukałem tych rekolekcji, ale

najprawdopodobniej Ojciec Profesor spisał je na kartkach, bo nie zostały wydane. Nie ma ich w Rzymie, może są w Gars am Inn).

Szliśmy bardzo powoli, a o. Häring snuł swoją opowieść. „W tych rekolekcjach – mówił – szło przede wszystkim o to, aby wszystko było tak, jak chce Pan Jezus, i ściśle w tym kierunku je prowadziłem. Mówiłem o Duchu Świętym, o miłości i odwadze. To przede wszystkim On, Trzecia Osoba Boska, jest tym, który przekazuje miłość Ojca przez Jego Jednorodzonego Syna, Jezusa. Miłość Boża musi być na pierwszym miejscu. Istnieje bezwzględny prymat miłości przed jakimkolwiek działaniem. Miłość Boża jest nieskończenie ważniejsza od samej odnowy Kościoła, od jego *aggiornamento*”.

Po kilku naukach papieski zakrystian powiedział mu, że nikt wcześniej tak nie przemawiał w obecności papieża i że jeśli dalej będzie tak mówił, to w końcu „oberwie po uszach”. Było jednak inaczej. Na koniec tych ćwiczeń duchowych Paweł VI wspólnie posumował myśli i pragnienia rekolekcjonisty. Przemawiał przez kilkanaście minut. Sercem tego wystąpienia była *paraklesa* – umocnienie, zachęcenie i wychwalanie Ducha Świętego. Naza jutrz po zakończonych rekolekcjach w „L'Osservatore Romano” można było przeczytać, że Ojciec święty po tych wielkopostnych ćwiczeniach zarządził wprowadzenie do każdej litanii wezwania „Duchu Święty, zmiłuj się nad nami”.

Doskonale wyczuwał to i rozumiał wielki papież Jan XXIII, który zwołał sobór. Pragnął uświadomić wszystkim, że Kościół nie może być podobny do muzeum, które można jedynie zwiedzać i podziwiać. Kościół – mówił dobitnie mój rozmówca – nie może być postrzegany przez świat jako twierdza otoczona wielką fosą. Wiara Kościoła nie jest przecież antyracjonalna i nie może



być sprowadzana do funkcji reliktu wiary i życia minionych pokoleń. Kościół to przede wszystkim żywa obecność Jezusa Chrystusa, to Jego Ewangelia, według której wszyscy jesteśmy dziećmi jedyne go i prawdziwego Boga. Przecież z Ewangelii płyną prawda i dobroć złączone w jeden nurt z pokorą i miłością w Chrystusie. Dobry Papież nie żartował, gdy mówił, że teologowie często „psuli” i nadwerężali ewangeliczną naukę. Zwołał Sobór Watykański II m.in. po to, aby tym razem „naprawili” swoje stare błędy i pomyłki. Kościół katolicki miał powrócić do źródeł i znów stać się światłem i solą ziemi dla świata. Wyraziło się to w pięknym określeniu go jako powszechnego sakramentu zbawienia. Kościół jest narzędziem Chrystusa, mówił z naciskiem o Bernhard. Poprzez Kościół człowiek wewnętrznie jednoczy się z Bogiem, który jest Miłością. Kościół ma być znakiem jedności całego rodzaju ludzkiego.

Papież Jan XXIII wcześniej miał okazję poznać od wewnątrz środowisko watykańskie – zarówno duchowieństwo, jak i wykładowców katolickich uczelni w Rzymie. O atmosferze, która zżerała je od środka niczym nowotwór, napisał w jednym z listów do swojej siostry. Zwierzył się jej, że chętnie opuściłby Rzym. Czuł się zirytowany tym, że musi patrzeć na tak wiele zwykłych ludzkich nikczemności. Ciągłe musiał słuchać o sposobach i metodach robienia kariery, zdobywania pozycji. Takie gadanie – pisał – to wielkie poniżenie dla kapłańskiego życia. Prosił więc siostrę, by się modliła o to, aby nie dosięgła go żądza godności i zaszczytów w Kościele i by pozostał wolny od chciwości dóbr materialnych.

Dobry Papież nie pragnął zaszczytów ani za nimi nie tęsknił, a mimo to został wybrany następcą św. Piotra. Właśnie dlatego,

na ile tylko mógł, wskazywał kierunek reformy i odnowy Kurii Rzymskiej i całego Kościoła. Próbował to robić przez cały swój krótki pontyfikat. „Tym, którzy twierdzą, że Jan XXIII jedynie zwołał i rozpoczął sobór powszechny, zawsze odpowiadam – mówił o Häring – że zrobił aż tyle! On dał początek, wskazał autentyczne *arche* Kościoła. Jednak każdy początek jest trudny i może dlatego trzeba go wciąż na nowo odkrywać”.

Kard. Joseph Ratzinger – papież Benedykt XVI

W pewnym momencie naszej rozmowy spytałem o Bernharda, kto, jego zdaniem, jest obecnie najlepszym katolickim teologiem. Przyznał na chwilę i odpowiedział: „Dzisiaj najwybitniejszym teologiem jest kard. Ratzinger, prefekt Kongregacji Nauki Wiary. Myślę, że w przyszłości będzie jeszcze ważniejszą osobą w Kościele”. Znałem wówczas tylko jedną książkę przyszłego papieża – *Raport o stanie wiary*, ale o Häring tak mnie zachęcał do sięgnięcia po inne jego prace, że mocno wzięłem sobie jego słowa do serca i po powrocie do domu rzeczywiście zacząłem się interesować duchowym i intelektualnym dorobkiem skromnego i wrażliwego teologa z Marktl am Inn. I do dziś tego nie żałuję! Dwanaście lat później, po śmierci Jana Pawła II, Joseph Ratzinger został papieżem Benedyktem XVI.

Papież Jan Paweł II

Jedną z dwóch najtrudniejszych kwestii, jakie zamierzałem poruszyć w rozmowie z o. Häringiem, był jego stosunek do Jana Pawła II. Gdy w końcu odważyłem się o to zapytać, okazało się, że nie zrobiło to na moim rozmówcy większego wrażenia.

O. Bernhard uśmiechnął się i powiedział ciepło i serdecznie: „Ja kocham naszego papieża”.

Na tym krótkim stwierdzeniu nie poprzestał. „Byłem szczęśliwy, gdy wybrano go na Stolicę Piotrową – mówił. – Przyjąłem tę wiadomość ze łzami w oczach”. Poznali się w czasie Soboru Watykańskiego II. Po drugiej sesji soborowej wspólnie z bpem Emiliem Guano zaproponowali papieżowi Pawłowi VI, aby powołano do pracy w ich komisji również biskupów zza żelaznej kurtyny, czyli ze wschodniej Europy (żadnego biskupa z tych krajów nie było w tej komisji). To dzięki temu do pracy nad konstytucją *Gaudium et spes* dołączył abp Karol Wojtyła, i przez to wyraźnie zaistniał na soborze. Byli też razem w jednej komisji gromadzącej ekspertów z dziedziny etyki rodzinnej. Przyszły papież z Polski od razu wyróżnił się na tle starszych hierarchów uczestniczących w pracach soborowych. Jego uwagi – wspominał o. Bernhard – były bardzo cenne. Miał też interesującą wizję duszpasterskiej roli Kościoła, a jego teksty temu poświęcone zostały wykorzystane w pracach nad konstytucją duszpasterską o Kościele w świecie współczesnym.

„Jeżeli – stwierdził o. Bernhard – w jakiejś sprawie się z papieżem nie zgadzam, to wcale nie znaczy, że jestem jego wrogiem albo że go nie lubię. To byłoby sprzeczne z moimi poglądami na życie”.

„Wspomnij – mówił dalej – że gdy Paweł z Tarsu sprzeciwił się Piotrowi, pierwszemu papieżowi, gdy ten nie zachował się właściwie, wcale nie doszło między nimi z tego powodu do sporu czy antagonizmu”. Przed kilku laty o. Bernhard napisał do Jana Pawła II list otwarty i teraz, podczas naszej rozmowy, do niego nawiązał. Wyraził w nim – jak sam stwierdził – własny pogląd

na sprawę rygorystycznych nakazów i zakazów w dziedzinie seksualnej. Uważał wówczas, i dotąd zdania nie zmienił, że zbyt ni rygoryzm w tej kwestii prowadzi do odwrotnych skutków. Gdy napina się łuk coraz mocniej i mocniej, często pęka. „Moje słowa – mówił mi – dotyczyły ogólnych zasad, podstawowej oceny sytuacji oraz indywidualnej decyzji i bardzo potrzebnej duszpasterskiej porady w tej nad wyraz delikatnej sferze, jaką jest płciowość. Z pewnością czytałeś w moich książkach, że w kwestii małżeństwa i życia seksualnego małżonków niemal zawsze starałem się przybliżać naukę św. Alfonsa Liguoriego – doktora Kościoła i założyciela redemptorystów. Jego stanowisko w tej dziedzinie zawsze było zdecydowanie łagodniejsze od rygorystyczno-pesymistycznego stanowiska św. Augustyna. Jestem głęboko przekonany, i życie nas poucza, że kierunek obrany przez św. Alfonsa przyniósłby więcej korzyści i pożytku duchowego małżonkom i ich rodzinom niż proaugustiański rygoryzm z jego negatywnym, manichejskim spojrzeniem na cielesność i płciowość człowieka. Ojciec święty Jan Paweł II próbował nieco zmienić spojrzenie Kościoła na kwestię cielesności i płciowości, ale uważam, że to ciągle za mało”.

Po krótkiej przerwie o. Bernhard zaczął mówić, że cała sfera płciowości jest człowiekowi dana jako jeden z najgłębszych sensów jego egzystencji. Jest też wielkim zadaniem. Nie zagadką, którą trzeba rozwiązać, ale właśnie zadaniem, które należy jak najpiękniej przeżyć. Trzeba dużo łaski i higieny fantazji, aby w tej dziedzinie nie przegrać życia. „Między innymi w tym duchu – dodał – napisałem do papieża Pawła VI o nauce św. Alfonsa Liguoriego na temat małżeństwa. Nauczał on o trzech celach życia małżeńskiego. Pierwszy, absolutny i niezbywalny, zawsze polega na wzajemnym oddaniu i umocnieniu się małżonków

w jedności. Chodzi tu o wierność i nierozzerwalność przymierza małżeńskiego. Następne dwa cele, choć również są wewnętrzne, są też akcydentalne. To prokreacja, czyli przekazywanie życia, oraz uporządkowanie pożądliwości seksualnej małżonków. Wprawdzie nigdy nie mogą one zostać całkowicie wykluczone, ale też nie muszą być urzeczywistnione w każdym małżeństwie i w każdym jego akcie. Mówiąc w skrócie, każdy akt małżeński musi być wyrazem małżeńskiej miłości i troski o wzajemną wierność, ale nie każdy musi być ukierunkowany na spłodzenie dziecka”. Takie spojrzenie na sferę małżeństwa i płciowości, stwierdził o. Bernhard, jest łagodniejsze i znacznie zdrowsze.

Podążając za całą wielką tradycją Kościołów wschodnich, a także za większą częścią tradycji rzymskokatolickiej, św. Alfons Liguori nauczał, że w przestrzeni naturalnego prawa moralnego istnieje także epikeia, czyli rozważenie sensu godności ludzkiej w aspekcie wspólnego dobra. Oczywiście – stwierdził o. Bernhard – św. Alfons nie sądził, że epikeia powinna być stosowana w obszarze najwyższych norm wpisanych w serce człowieka: prawa miłości Boga i bliźniego, wyraźnie jednak zastosował ją do stosunku przerywanego (*copula abrupta*), który wówczas uchodził za jedyny niemagiczny sposób zapobiegania poczęciu. Podobnie jak inni teologowie moralni tamtych czasów, św. Alfons uczył, że stosunek przerywany sam w sobie jest sprzeczny z prokreacyjnym celem aktu małżeńskiego, dlatego należałoby go odrzucić. Jednak mówił też jasno, że są przypadki, gdy małżonkowie mają dobry powód, by nie chcieć, aby ich akt małżeński prowadził do poczęcia. W czystości i wstrzemięźliwości seksualnej małżonków widział wprawdzie najwyższą wartość, ale ze słusznej racji (*iusta ex causa*) dopuszczał też możliwość epikei.

Rygoryzm małżeński ukierunkowany wyłącznie na prokreację nie sprzyja higienie fantazji w małżeństwie, podkreślił o. Bernhard. O tę higienę fantazji trzeba się modlić każdego dnia. „Nie zapomnij – powiedział mi – że to wszystko nie tylko od nas samych zależy, ale przede wszystkim od łaski Pana Jezusa”.

Czy o. Bernhard Häring jest heretykiem?

Wracaliśmy do klasztoru na obiad, a mi pozostało jedno, może najtrudniejsze pytanie. Wiedziałem, że mogę je zadać teraz albo wcale. „Czcigodny Ojciec Profesorze – powiedziałem – niektórzy duchowni w Polsce, wśród nich także wykładowcy akademicki, uważają Ojca za moralistę nieortodoksyjnego, a czasem nawet heretyka. Uważają, że pobiłdziłeś i że twoja opcja fundamentalna i subiektywizm jest prostą drogą do laicyzacji i relatywizmu w chrześcijańskiej moralności. Sądzą, że twoje poglądy wykluczają możliwość popełnienia grzechu ciężkiego w codziennym życiu chrześcijanina. Wybacz, że o tym mówię, ale gdy słyszę takie opinie, jest mi bardzo przykro”.

Rozpoczął od przytoczenia słów naszego Pana: „»Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni. Jak bowiem wy innych będziecie sądzić, tak i też was osądzą«. Z pewnością słyszałeś – powiedział potem – o Orygenesie i jego teorii *apokatastasis*. Orygenes został potępiony przez wielu teologów i biskupów, ale nie wszyscy rozumeli, o co w tym wszystkim chodzi... Jaki grzech popełnili Adam i Ewa w raju: śmiertelny czy ciężki?” – spytał mnie o. Bernhard i niejako sam sobie odpowiedział. „Jeżeli za swój grzech pierwsi ludzie musieli opuścić niebo i jeśli jego konsekwencją była ich śmierć, to zgrzeszyli śmiertelnie. Czy mogli powrócić do raju? Wiemy przecież, że każdy, nawet największy śmiertelny grzech, Syn Boży,

Jezus Chrystus, Zbawiciel ludzkości, odkupił przez swoją śmierć na krzyżu i swoje zmartwychwstanie. Taka jest nasza wiara. Orygenes mocno wierzył w Boże miłosierdzie i pełny powrót grzeszników do Boga, także Adama i Ewy. Nie było wtedy tak jasnej doktryny na ten temat jak dziś. Była natomiast silna wiara w powszechny powrót do początku, do raju. Boże miłosierdzie jest niezmiernie wielką tajemnicą i przymiotem naszego Boga w Trójcy Jedynej. Apokatastaza nie była wtedy tak pojmowana jak dziś. Była raczej wyrazem głębokiej wiary. »... nie odtrączę nikogo z tych, co do Mnie przyjdą«, mówi Pan Jezus. Na Zachodzie niektórzy nazywają Orygenesesa heretykiem, zaś na Wschodzie uznają go za wielkiego teologa i świętego. Pan Jezus nikogo nie potępia, ale człowiek jest do tego zdolny i zawsze chętny”.

„Czym jest opcja fundamentalna? – pytał dalej o. Häring. – To nic innego jak sakramentalny znak życia Chrystusa w nas. Dzieje się to wyłącznie na mocy chrztu św. i w łasce Boga w Trójcy Jedynej. Zatem opcja fundamentalna polega na radykalnym nawróceniu, na metanoi, na przemianie naszego myślenia i sposobu życia według Chrystusowej Ewangelii. W opcji fundamentalnej na każdym kroku mówię Chrystusowi »tak«, a szatanowi »nie«! Demaskowanie szatana to nieustanna funkcja opcji fundamentalnej. Przez chrzest jesteśmy zakorzenieni w Chrystusie. Chrzest z wody, chrzest Ducha Świętego i chrzest z krwi są istotą opcji fundamentalnej”. Słuchałem i tylko czasem, gdy czegoś nie rozumiałem, zadawałem dodatkowe pytania. O. Bernhard był bardzo cierpliwy i wyrozumiały.

Na koniec powiedział: „Zaraz musimy iść na modlitwę do kaplicy, później na obiad, a wieczorem mamy pierwsze nieszpory z uroczystości Wniebowzięcia Matki Bożej. Możemy się jeszcze

na krótko spotkać po dwudziestej. Mam dla ciebie najnowszą moją książkę: *Es geht auch Anders*. Kilka dni temu trafiła do księgarń”. Wcześniej wyjaśnił mi, że jest to jakby jego testament. Zawarł w niej to, co najbardziej leżało mu na sercu. Uczynił to z okazji swoich osiemdziesiątych urodzin.

Pierwszy list otrzymany od Ojca Profesora

Na czwartym roku studiów, w roku akademickim 1984/85, postanowiłem napisać list do Kolegium Świętego Alfonsa Liguoriiego na via Merulana w Rzymie. Chciałem się dowiedzieć, czy o. Bernhard Häring jeszcze żyje, i poprosić o jego adres. Pomyślałem sobie, że przynajmniej listownie poznam autora dzieła, które miało stać się podstawą mojej pracy magisterskiej.

W krótkim czasie otrzymałem odpowiedź, a w niej adres Ojca Profesora. Okazało się, że nadal wykłada w Rzymie. Natychmiast do niego napisałem. W liście przedstawiłem temat mojej pracy magisterskiej i szczerze wyznałem, że nigdzie nie mogę zdobyć egzemplarza jego książki *Das Heilige und Das Gute. Religion und Sittlichkeit in ihren gegenseitigen Bezug* w języku oryginalnym, na której bardzo mi zależy. Kończąc, poprosiłem o błogosławieństwo dla mnie na czas pisania pracy magisterskiej i o wzajemną modlitwę.

Nie upłynął miesiąc, a otrzymałem z Niemiec, z rodzinnego domu Ojca Profesora, jego osobisty egzemplarz *Das Heilige und Das Gute*. Wysłała go na mój seminaryjny adres jedna z sióstr o. Häringa. Byłem tym darem niezmiernie zaskoczony i uradowany. Mój świat stał się jakby inny, nawet nie wiedziałem dlaczego. Doświadczyłem mocno czegoś, co niesie autentyczną nadzieję – była to wiarygodność, na której zawsze starałem się budować



własne życie, a także życie we wspólnocie. Nabrałem ogromnego zaufania do Ojca Profesora. Ten pierwszy list i подарowana mi jego własna książka były dla mnie ważnym znakiem, od którego zacząłem postrzegać o. Bernharda nie tylko jako profesora, ale przede wszystkim jako kogoś, kto kieruje się miłością do prostego człowieka, a więc kogoś bardzo mi bliskiego. Wtedy pojąłem, że wielkość człowieka nie mierzy się wedle jego słów, wedle tego, co mówi i pisze, ale według tego, co robi dla innych, kim się dla nich staje.

### Nurt trzeci. Listy o. Bernharda

---

[19 października 1984]

Właśnie otrzymałem Twój list. Niestety, nie mam już żadnych egzemplarzy książki *Das Heilige und das Gute*, ale będę pytał, komu pożyczyłem mój egzemplarz. Jeśli go nie znajdę, to będę starał się wysłać Ci go z Niemiec. Wiem, że tam, w moim pokoju, znajduje się [jeszcze jeden]<sup>1</sup>. A jeśli i to się nie uda, wówczas postaram się zrobić fotokopię, więc możesz być pewny, że ją otrzymasz.

Pytasz, skąd się bierze różnica pomiędzy 1) moralnie doniosłymi wartościami, ideałami i moralnie doniosłymi dobrami, celami itp., a 2) moralnymi wartościami we właściwym i ścisłym sensie, a więc: dobrym usposobieniem, które odpowiada słusznemu porządkowi wartości, właściwemu myśleniu, mówieniu, czynom dokonywanym z dobrego serca, z prawym zamysłem

---

<sup>1</sup> Wszystkie dopiski w listach pochodzą od autora artykułu.

i w zgodzie z sumieniem. To rozróżnienie powtarzam za Dietrichem von Hildebrandem i Maxem Schelerem. O tym ostatnim habilitację napisał także papież Jan Paweł II.

W języku niemieckim nie ma czwartego tomu *Das Gesetz Christi*. Takowy istnieje tylko w języku polskim, ponieważ wówczas udzielono pozwolenia na drukowanie wielotomowego dzieła [pt. *Prawo Chrystusa*]. Jeśli potrzebujesz ode mnie jakiejś innej książki, to napisz. Jeśli ją mam, chętnie Ci wyślę.

[8 lutego 1985]

(...) Urodziłem się 10 listopada 1912 roku, jako jedenaste z dwanaściorga dzieci moich rodziców. Pięć moich sióstr jest zakonnicami. Jestem emerytowanym profesorem. Mam ponad 70 lat, choć nadal przez jeden semestr uczę tu, na Akademii Alfonsjańskiej, gdzie niemal każdego roku na teologii moralnej kształci się kilku księży z Polski. Przez ostatnie dwa lata prowadziłem także kurs na Gregorianum, ale na wydziale misjologicznym.

W minionym semestrze miałem stu studentów. Jestem promotorem dla dwudziestu doktorantów (przeważnie z Afryki i Azji), a także promotorem dziesięciu rozpraw licencjackich z zakresu teologii moralnej.

Od pięciu lat jestem całkowicie pozbawiony krtani. Mówię za pomocą przetyku. Przez pewien czas byłem niemową. Teraz jestem zupełnie zdrowy. Od 1977 do 1980 roku walczyłem z nowotworem krtani.

[Rzym, 25 lutego 1985]

(...) Dziękuję, że się za mnie modlisz. To najlepsza odpowiedź na mój względnie mały podarunek. Twoja radość z niego jest również moją radością. (...)

[Gars am Inn, 13 lipca 1985]

(...) Skąd się wzięła moja szczególna miłość do Polaków? To proste. W Polsce doświadczyłem dużo miłości od nich. Podczas wojny nie byłem kapłanem wojskowym, ale sierżantem-sanitariuszem. Przed wojną z Rosjanami moja jednostka stacjonowała w Polsce. Miałem z Polakami dobre i przyjazne kontakty, odprawiałem dla nich Msze św. itp. Pod koniec wojny polska parafia z Jastarni uwolniła mnie z rosyjskiej niewoli. Cała parafia o tym wiedziała, a jednak nikt mnie Rosjanom nie wydał, nikt mnie nie zdradził. Parafianie chcieli mnie później zatrzymać jako swojego proboszcza. Opuszczałem tę parafię z ciężkim sercem. W czasie pożegnania ludzie płakali.

Pierwszy tom dzieła *Frei in Christus* ma się właśnie ukazać w polskim tłumaczeniu w wydawnictwie Pallottinum. Kolejne będą później [nie ukazały się do tej pory]. Ostatnio wydałem książkę *Vom Glauben, der Gesund macht*. Ona także ma być wydana w języku polskim w Pallottinum [również do tej pory się nie ukazała].

Owszem, chętnie będę się modlił, abyś był dobrym księdzem. Może nie potrzebujemy wielkiej liczby kapłanów, a bardziej potrzeba nam kapłanów dobrych, pobożnych i ofiarnych. Potrzebujemy też kapłanów radosnych, którzy promieniają radością Pana. Pan Jezus dał nam do rąk klucz do tej tajemnicy i aby tak

się działo, trzeba zawsze i wszędzie dziękować [Bogu]. Wszystko, o czym myślimy, za czym tęsknimy i czego pragniemy, ofiarujemy to w duchu podczas Eucharystii jako wiarygodność tego, co jest godne wdzięczności. Dobry chrześcijanin, a przede wszystkim dobry kapłan, nigdy nie będzie narzekał, żalił się i szemrał; gdyż w ten sposób wyrażałby najgorszy sprzeciw wobec Eucharystii, którą świętujemy i którą żyć pragniemy. (...)

[Gars, 16 sierpnia 1985]

(...) Byłem w Polsce już jako ksiądz (i młody profesor teologii) na przełomie maja i czerwca 1941 roku, jeszcze przed wojną niemiecko-sowiecką. Uczyłem się tam języka polskiego. Niedaleko Sokola [prawdopodobnie chodzi o Sokółkę, gdzie stacjonował jego pułk] niemal codziennie odprawiałem w szopie Mszę św., na którą przychodziła także miejscowa ludność. Z takiego postępowania musiałem tłumaczyć się pułkownikowi mojego pułku, ponieważ kapłanom będącym w służbie sanitarnej nie wolno było prowadzić żadnej działalności duszpasterskiej ani odprawiać Mszy św. dla Polaków. Jednak pułkownik okazał się prawym człowiekiem i z tego kłopotu wyszedłem jedynie z formalną nagana.

W Polsce byłem także podczas odwrotu [wojsk niemieckich]. Przez pewien czas przebywałem niedaleko Narwi, a potem bliżej Gdańska. Później w Jastarni, na Helu, dostaliśmy się do niewoli. Ludzie z Jastarni, dla których pod groźbą kary odprawiałem Msze św. i których dzieci chrzciliem, przebrali mnie i wykradli z obozu jenieckiego, a potem uczynili mnie swoim duszpasterzem. Od ich burmistrza otrzymałem polskie dokumenty. Ci dobrzy ludzie chcieli mnie przy sobie zatrzymać, jednakże we

wrzeźniu 1945 roku postanowiłem wrócić do domu, gdyż moi rodzice, którzy mieli w październiku świętować swój złoty jubileusz małżeński, nie wiedzieli, czy jeszcze żyję. Wówczas jakkolwiek korespondencja była niemożliwa. Podczas mojego pożegnania wylano sporo łez.

Potem przyjechałem do Polski jeszcze dwukrotnie. Za pierwszym razem byłem na Konferencji Polskich Teologów Moralnych. Odwiedziłem wówczas nowicjat w Tuchowie i – co się rozumie samo przez się – oczywiście Jastarnię. Moje drugie odwiedziny w Polsce były związane z tym, że w Warszawie bardzo uroczyście uhonorowano mnie nagrodą im. Włodzimierza Pietrzaka.

W Rzymie, gdzie wykładałem już od niemal 30 lat, wśród swoich studentów miałem sporo polskich kapłanów. Dla wielu z nich byłem także promotorem ich rozpraw doktorskich. Niestety, mojej znajomości języka polskiego później już nie pielęgnowałem, więc po kilku latach mieszałem słowa polskie i rosyjskie. W czasie obrad Soboru Watykańskiego II byłem zaproszony przez polski episkopat na wykład i na kolację. Kardynał Wyszyński był do mnie bardzo dobrze usposobiony.

Opowiem Ci jeszcze jedną miłą historyjkę o pewnym polskim kapłanie. Gdy do mojej sekcji przybyło czterech młodych księży, przywieźli z sobą wino mszalne w malutkich buteleczkach, podobnych do tych, jakie i ja otrzymywałem z Niemiec. W czasie blokady pocztowej niestety nie byli oni tak oszczędni jak ja, więc z braku wina nie mogliśmy sprawować Mszy św. Poszedłem wtedy do pewnego polskiego proboszcza i prosiłem go, by napełnił moją malutką buteleczkę winem mszalnym. On jednak postanowił dać mi całą butelkę. Wiedziałem, że wówczas brakowało wina także polskim księżom, dlatego nie chciałem jej przyjąć. Mimo

to ów ksiądz upierał się i twierdził, że ma dosyć wina mszalnego. Dopiero po dłuższych naleganiach wyznał, że oprócz tej ofiarowanej mi butelki miał zaledwie jeszcze jedną, ostatnią.

Mógłbym też dużo mówić o tym, jak niemal wszędzie w Rosji doświadczałem miłości dobrych ludzi. Opiekowałem się chorymi i rannymi, a także zapraszałem ich do liturgii. Ludzie ci ze wszystkich stron przynosili mi dzieci do chrztu. Jako kapłani musimy tylko bezinteresownie pokochać ludzi, żeby zyskać ich serca dla Boga. Jednak żeby właściwie kochać ludzi, najpierw trzeba nauczyć się kochać Jezusa, aby z Jezusem kochać Ojca, a następnie z Jezusem i Ojcem kochać ludzi.

[Rzym, 20 grudnia 1985]

Jaki jest związek pomiędzy „samodoskonaleniem” a tym, co Święte i Dobre? Wyjaśnienie tego zagadnienia było głównym celem mojej książki *Das Heilige und das Gute*.

Samodoskonalenie jest egocentryczne i antropocentryczne. W gruncie rzeczy jest interesem, osiągnięciem. Zupełnie inaczej jest ze stawaniem się doskonałym, które jest odpowiedzią na miłość Boga i owocem uświęcenia pochodzącego właśnie od Niego. To, co Święte, i to, co Dobre, ma swój ośrodek, swoje centrum w Bogu. Samodoskonalenie natomiast oscyluje zawsze wokół człowieka, wokół własnego „ja”.

Czy dobro zawsze oznacza dobro moralne? W najściślejszym sensie dobrem moralnym są dobre usposobienia, czyny i postawy ludzkie. Trzeba tu rozróżnić moralnie doniosłe wartości i moralnie doniosłe normy.

Jaka jest różnica pomiędzy dziełem *Prawo Chrystusa* a *Frei in Christus*?

Pierwszy tom *Frei in Christus* zawiera jakieś 40 procent *Prawa Chrystusa*. Drugi i trzeci mają już niewiele tekstu z tej pracy. Są to dwa różne i odrębne teksty, oba trzytomowe, które powstały w odstępie ponad 25 lat i to jeszcze wówczas, gdy w historii wydarzyło się wtedy więcej niż w niejednym stuleciu.

Pojawiają się tam nowe pytania i nowe punkty widzenia, na nowo stawiane są akcenty w spojrzeniu na nowe pokolenie i historyczne uwarunkowania, które dotyczą również chrześcijan. Mimo to oba dzieła mają ten sam chrystocentryczny punkt wyjścia. *Frei in Christus* ma lepiej rozwiniętą pneumatologię i odpowiednio mocniej podkreślone jest też profetyczne znaczenie naśladowania Chrystusa. (...)

[Rzym, 19 kwietnia 1988]

Zakończyłem moją działalność w Rzymie i 26 kwietnia definitywnie powracam do macierzystego klasztoru (...).

Cieszę się na bardziej wyciszone i kontemplacyjne momenty życia, obojętnie, czy będą dłuższe czy krótsze. Z wdzięcznością powracam myślami do mojej długiej działalności w Rzymie. Tak wiele miłości otrzymałem od moich studentów.

[Gars, 3 stycznia 1989]

Właśnie wróciłem z Włoch, gdzie w różnych miejscach, także w telewizji, wypowiadałem się na temat obrony wolnej od przemocy.

[Gars, 9 października 1992]

Bardzo dziękuję za Twój interesujący list. Gratuluję Ci sportowych osiągnięć. Sport, a szczególnie hokej na lodzie i w ogóle hokej, mogą przyczynić do szlachetnego zachowania, do koleżeństwa i wolności od przemocy. (...)

Przez dłuższy czas byłem poważnie chory. Miałem wylew krwi do mózgu (następstwo sześciu operacji na gardło i naświetlań). Ostatecznie dobry lekarz ten problem rozwiązał. Paraliż jako rezultat tego wszystkiego został niemal przewyciężony.

Moja nowa książka wydana w języku francuskim, *La théologie morale: Idées maîtresses*, oddaje treść mojego ostatniego kursu (1987/88) w Akademii w Rzymie i jest tłumaczeniem z języka włoskiego. Powstaje także jej brazylijski przekład. Chodzi w niej o idee przewodnie i rozstrzygające.

Co do *Quelle morale pour l'Église?*, o ile wiem, tłumaczenie na język angielski jest w toku. Jeszcze się nie zdecydowałem, czy przetłumaczyć ją na język niemiecki.

Wysłałam Ci moją najnowszą książkę o moralnym problemie inkulturacji w Afryce w perspektywie panafrykańskiego synodu biskupów, który jest w przygotowaniu. Ta książka odbiła się już dobrym echem w Afryce, choć jest w sprzedaży zaledwie od dziesięciu tygodni.

Czy posiadasz książkę *Meine Erfahrung mit der Kirche?* Ukażała się w 1989 roku i dotąd przetłumaczono ją na dziewięć języków. Ma też osiem wydań w Niemczech. W niej także chodzi o problem teologicznomoralnej odnowy. (...)



[Gars, 27 maja 1993]

Od 2 lipca do 4 sierpnia będę w mojej rodzinnej parafii w Böttingen, oddalonej 400 km od Gars, gdzie będę zastępował miejscowego proboszcza (dla dwóch parafii). Od 5 sierpnia będę w Gars. Ty i Twój kolega z pewnością będziecie gościnnie przyjeździ. Znajdziemy także dwa pokoje na jedną noc. Od początku wojny w Jugosławii ciągle mamy u nas około dwudziestu–trzydziestu wypędzonych. Obecnie więcej jest u nas muzułmanów, ale w klasztorze są jeszcze co najmniej dwa wolne pokoje.

W zeszłym roku był u mnie w odwiedzinach proboszcz z Jastarni, gdzie w 1945 roku parafianie wyprowadzili mnie z rosyjskiego obozu jenieckiego i uczynili swoim „proboszczem”. Byłem tym bardzo ucieszony. Czy przeczytałeś moją książkę *Als es ums Überleben ging?* Pisałem w niej o moich polskich przyjaciołach.

Przed trzema tygodniami byłem przez kilka dni w Pradze i bardzo intensywnie pracowałem z pewną grupą ludzi, którzy zorganizowali się podczas prześladowań. (...)

W tym roku wiele już przepracowałem. Odbyłem także sympozjum i wykłady w Rzymie. Jednak w moim kalendarzu nadal jest jeszcze zapisane dużo pracy. W lipcu będę na przykład przez pięć tygodni zastępował księdza na parafii, a pod koniec sierpnia i na początku września mam wygłosić rekolekcje w Anglii dla redemptorystów i trapistów.

Bogu niech będą dzięki za to, że ciągle jeszcze dopisuje mi zdrowie i radość z pracy. Wiesz, że jestem pozbawionym krtani brzechomówcą. Mówię za pomocą przetyku. Nie mogę się nadziwić, że mimo to ciągle tak wielu zaprasza mnie na wykłady i do głoszenia słowa Bożego. (...)

[Gars, 3 stycznia 1994]

Ciągle myślę o odwiedzinach Twoich i Twojego kolegi [ks. Ireneusza Okarmusa]. Od tamtego czasu byłem ciężko chory. Teraz zdrowie mi się poprawia. W której z moich prac zawarłem zasadniczy rys teologii moralnej? Krótko mówiąc, opisałem to w książce *Frei in Christus*. W tomie pierwszym [jest o tym] cały rozdział.

Nie wszyscy rozumieją w ten sam sposób opcję fundamentalną. Odnosi się ona do radykalnego nawrócenia. (...)

[Gars, 20 kwietnia 1994]

Z moim zdrowiem nie jest tak dobrze jak rok temu, ale mam wiele powodów, aby dziękować Bogu. Głowa jeszcze funkcjonuje.

Naturalnie, że kochamy Kościół, a w szczególności także Papieża, nawet wtedy, gdy przy gruntownym badaniu sumienia inaczej myślimy teologicznie. I św. Paweł z pewnością kochał św. Piotra, gdy publicznie mu się sprzeciwiał.

[Böttingen, 2 sierpnia 1994]

(...) Duszpasterski list papieża Jana XXIV napisany przeze mnie [w książce *Es geht auch Anders*], który wedle mojego uznania należy poznać, czytany jest na całej ziemi i znajduje duże zrozumienie. Niektórzy wierzą, że to jest prorocтво. To wy, młodzi ludzie, będziecie mogli kiedyś to ocenić.

W każdym razie przypuszczam, że przyszedł Jan XXIV już przeczytał albo wkrótce przeczyta to pismo. Więcej nie ośmielam się powiedzieć. Jestem pełen nadziei.

W Niemieckim Kościele Ewangelickim są różne nurty. Są to zdecydowanie siły na wskroś ekumeniczne. Znam dwóch

znaczących teologów moralnych, którzy ze swoimi żonami należą do braterskiej wspólnoty i ściśle wypełniają ślub ubóstwa.

Znam też pewną panią pastor, która pełni funkcję proboszcza i która razem z innymi kobietami należy do wspólnoty siostrzanej, w której składa się ślub celibatu. (...)

[Gars, 17 stycznia 1995]

Wiedzie mi się nad podziw dobrze. Co do zdrowia, to jest to raczej stan przejściowy niż stały. Znów prowadzę wykłady. Dla przykładu przedwcześniej miałem wykład dla pięciuset członków pokojowego ruchu Pax Christi. Wśród nich była także starsza pani Jagerstetter, której mąż, kościelny, za rządów Hitlera wołał dać się rozstrzelać, niż wziąć udział w tej niesprawiedliwej wojnie. Była też obecna córka tego świadka sumienia, która bardzo angażuje się na rzecz pokojowego ruchu i wolności od przemocy.

Do wielkich cudów i znaków naszego stulecia należy to, że Polska, wschodnie Niemcy i kraje bałtyckie bez użycia siły i bez przemocy odzyskały wolność. Wielkie zasługi ma w tym „Solidarność”.

Intensywnie pracuję nad książką *Priesthood Imperiled: A critical examination of ministry in the Catholic Church*. Napisałem ten tekst po francusku (*Quels prêtres pour l'Église?*), ulegając prośbom i naleganiom z Francji. Później przetłumaczyłem ten tekst na niemiecki. Obecnie pracuję nad ostatnim rozdziałem w języku angielskim. Tę książkę zamówiły już wydawnictwa we Włoszech, Hiszpanii i Portugalii. To jest bardzo aktualny i palący temat.

Odpowiadam tam na Twoje pytanie o pokój. Kapłan, który nie promieniuje pokojem i nie wychowuje do wolności od przemocy oraz do pojednania, nie jest nic wart.

Przede wszystkim tej sprawie służyło całe moje życie i temu powinien też służyć jego schyłek. (...)

[Gars, 8 maja 1995]

(...) W ostatniej połowie roku przedstawiłem dwa gotowe manuskrypty. Pierwsza książka w języku niemieckim zostanie wydana przez wydawnictwo Herder (w lipcu) i nosi tytuł *Heute Priester sein. Kritische Ermunterung*. W tym samym czasie ukaże się ona także we Francji, Włoszech, Hiszpanii, Portugalii i w Stanach Zjednoczonych. Najpierw napisałem tekst w języku francuskim – *Quels prêtres pour l'Église?*

Dzisiaj natomiast wysłałem najnowszy manuskrypt do wydawnictwa Kanisjus. [To książka] *Vater unser. Lobpreis, Bittgebet und Lebensprogramm*.

O ten tekst dopominają się też Anglia, Włochy i Hiszpania. Mogę więc ufać, że wielu ludziom pomoże nieco radośniej się modlić.

Na początku marca pochowaliśmy moją siostrę i zakonnicę Agape z Kempten. Żyła 91 lat. Miałem jeszcze szczęście spotkać ją, gdy była świadoma. Tego sobie życzyła. Od dziesiątków lat byłem jej spowiednikiem. Była rozmodloną służebnicą [Pana] i – jako wychowawczyni trzech pokoleń chłopców z chorobą Downa (...) (przeważnie w grupach sześciuosobowych) – także dobrym wzorem do naśladowania.

Ostatniego lata zmarła, również w Kempten, inna moja siostra – Rosa, która długo była przełożoną generalną swojej kongregacji. Obie poszły radośnie do domu. Są pochowane razem, w jednym grobie, jak sobie tego życzyły. Teraz mam jeszcze dwie żyjące siostry w zakonie, w wieku 85 i 87 lat. (...)

[Gars, 28 maja 1995]

Przedwczoraj otrzymałem z Włoch egzemplarze mojej książki, która w języku niemieckim nosi tytuł *Heute Priester sein. Kritische Ermunterung* i zostanie wydana przez wydawnictwo Herder w lipcu. Niemal równocześnie ukaze się także w Hiszpanii, Brazylii, Francji, USA i Anglii. Pewien współbrat z Francji, który ją przetłumaczył, powiedział, że praca nad nią to były dla niego bardzo dobre rekolekcje.

Co głosić siostronom zakonnym? Wiele razy i bardzo często głosiłem dla nich rekolekcje. Najczęściej pytałem je, jakie tematy mam poruszyć. Dwa lata temu głosiłem moje ostatnie rekolekcje dla sióstr w Szwajcarii w Lago Maggiore. Temat *Ojciec nasz: radosna nowina, modlitwa prośby, uwielbienie i program życia* okazał się bardzo dobry. Wkrótce potem wygłosiłem rekolekcje na ten sam temat dla braci w Anglii.

Moja książka *Acting on the Word*, która ukazała się w Stanach Zjednoczonych, także powstała podczas rekolekcji. Słowa Dobrej Nowiny nie można tylko słuchać, lecz trzeba je wypełniać, przekładać na własne życie. Również ta książka była często wznawiana. (...)

[Gars, 7 listopada 1995]

(...) Przed czterema tygodniami lekarz wykonał kompleksowe badania (21 parametrów krwi, kardiogram itd.). W rezultacie powiedział mi: „Ojciec będzie żył 99 lat bez utraty jakości życia”. Ufam jednak, że moja przeprowadzka do innego życia nie pozwoli długo na siebie czekać. Jednakże każdego dnia mam wystarczające powody, by dziękować Bogu za moje życie i zdrowie.

Nadal żyją dwie moje siostry (obie zakonnice). Jedna ma 87, a druga 85 lat. Zawsze dobrze się rozumieliśmy.

Moja ostatnia książka w języku niemieckim nosi tytuł *Heute Priester sein. Kritische Ermunterung*. Jej pierwsze wydanie w czterotysięcznym nakładzie rozeszło się w pięć tygodni. (...) W tym roku wygłosiłem stosunkowo dużo wykładów, ale od 1994 już nie głoszę żadnych kursów rekolekcyjnych. Zastępowałem natomiast przez siedem tygodni proboszcza w mojej rodzinnej parafii. Było to uciążliwie, ale poszło dobrze.

Wydaje mi się, że z upływem lat mówienie „brzuchomówcy” staje się coraz trudniejsze. Ale grunt to Bogu dziękować, że to wszystko jeszcze jakoś idzie.

[Gars, 15 grudnia 1995]

(...) Krótko odpowiadam na kilka z Twoich pytań:

Co do modlitwy różańcowej. Jeżeli zmieniamy metody, to też jest dobrze. Ja sam, idąc za przykładem św. Alfonsa, modłę się wolno i rozkoszuję się modlitwą *Ojcze nasz*. Następnie wyobrażam sobie cieleśnie tajemnicę wiary, na przykład obietnicę anioła, zadziwiam się, dziękuję, spontanicznie wchodzę w dialog z Jezusem i Maryją, a potem powoli modłę się *Zdrowaś Maryjo...*, przerwa, i następnie *Chwała Ojcu*. Jak wygląda mój zwykły dzień? Wstaję o godzinie piątej, robię znak krzyża, później podczas modlitwy wykonuję zdrowotną gimnastykę. O godzinie szóstej jest rozmyślanie w kaplicy, a szóstej trzydzieści wspólna Msza św. Potem w pokoju modłę się liturgią godzin itd.

Pewne wskazanie: podczas licznych przerw w pracy obserwuję własny oddech. Wolno wdycham i jeszcze wolniej wydycham powietrze. Przy wdechu przyjmuję siebie jako dar od Boga, przy

wydechu w pełni radośnie oddają się Bogu w akcie ufności i całkowitego zawierzenia.

Moją ulubioną lekturą zawsze był i jest Nowy Testament.

Oczywiście, również jestem zaskoczony wyborem dawnego komunisty na prezydenta [chodzi o Aleksandra Kwaśniewskiego]. To daje dużo do myślenia. Kościół nie ma na to żadnego bezpośredniego politycznego wpływu, czy to większego, czy mniejszego... Wniosek: musimy silniej świadczyć o naszej wierze i stawać się bardziej atrakcyjni.

Około lutego chętnie wyślę Ci moją książkę *Vater unser. Lobpreis, Bittgebet und Lebensprogramm*. Obecnie pracuję nad inną.

[Gars, 13 listopada 1996]

Wysłałem Ci egzemplarz mojej książki o kapłaństwie w języku angielskim [*Priesthood Imperiled*]. Jest to poszerzony tekst wydania niemieckiego i bardzo dobrze się rozchodzi w USA.

Jestem w trakcie kończenia mojej autobiografii, która będzie zatytułowana *Geborgen und frei. Mein Leben*. Jeśli regularnie wykonuję moją leczniczą gimnastykę, to ze zdrowiem wiedzie mi się dobrze.

Na wiosnę w austriackim wydawnictwie Styria ukaże się moja nowa książka *Wege zum Sinn. Eine zeitgemäße Tugendlehre*. Jednakże myślę już o tym, by zaprzestać pisania książek. Wystarczy, gdy okazynie napiszę jakiś wykład czy artykuł.

W przedostatnim tygodniu miałem wykłady w Kempten dla siedemdziesięciu terapeutów. Mówiłem o „Pojednaniu i uzdrowieniu” i o „Zranionym uzdrowicielu”. W sobotę byłem poza domem, na chrzcie św. u dwojga wspaniałych rodziców z tak zwanego mieszanego małżeństwa. Przed ślubem odbyli u mnie

czterodniowe rekolekcje. On jest katolikiem, ona natomiast ewangeliczką, zwolenniczką ekumenizmu i zagorzałą czytelniczką moich książek. To było przejmujące święto, ponieważ ich rodziny, obie wielkie, to gorliwi i radośni chrześcijanie.

W przyszłym tygodniu czterech kapłanów z Monachium będzie u mnie odprawiać pięciodniowe rekolekcje.

[Gars, 16 grudnia 1996]

(...) Czytałem właśnie książkę naszego Papieża o jego powołaniu kapłańskim. Bardzo piękna i prosta. Właśnie skończyłem pisać moją autobiografię. Ukaże się jesienią 1997 roku. Są tam odpowiedzi na wszystkie Twoje pytania.

[Gars, 3 maja 1997]

Ze stanu mojego zdrowia jestem zadowolony, ale też realistycznie stwierdzam, że mój proces posuwania się w latach jest w pełnym biegu. W listopadzie będę miał 85 lat. Moje ostatnie książki rozchodzą się dość dobrze i są tłumaczone na wszystkie wielkie języki wschodnioeuropejskie, w tym także na czeski i słowacki. Jednak ze zdziwieniem zauważam, że od dawna żadna z nich nie została przetłumaczona i wydana w języku polskim, choć mam w Polsce wielu przyjaciół.

(...) Zabawa i sport mają szczególne znaczenie jako wyraz wdzięczności za to, co miłe i piękne, i za ducha wspólnoty. Służą one również doświadczaniu piękna i radości wspólnie z innymi i dla innych – uczestników i widzów zabawy czy widowisk sportowych. Pragnienie bycia dobrym, a gdzie to możliwe, naj-



lepszym graczem, najlepszym sportowcem, może być wyrazem dbałości o ducha wspólnoty.

Radość z własnego zwycięstwa jest piękna wówczas, gdy się umie tak samo cieszyć ze zwycięstwa innych, jak z własnego.

Doświadczyłem współzawodnictwa tylko raz, jako szybko-biegacz, gdy wyprzedziłem innego biegacza zaledwie o długość nosa.

Także uprawianie teologii można porównać z uprawianiem sportu, jeżeli pielęgnujemy ducha wzajemnej wdzięczności z bycia z innymi i dla innych i jeśli serdecznie cieszymy się, widząc, że inni nas wyprzedzają. Tylko wspólna radość jest prawdziwą radością.

Jednakże, gdy ktoś uważa, że w sporcie, w zabawie i w swojej pracy koniecznie musi być najlepszy, wówczas zupełnie traci przyjemności [jaką one dają] i ducha wspólnoty.

[Gars, 8 kwietnia 1998]

W dniu 21 września ubiegłego roku zostałem nie tylko sparaliżowany, ale byłem właściwie martwy. Serce i płuca stanęły. To zdumiewające, że reanimacja się powiodła. Jednak mózg nie był dotleniony przez ponad pięć minut, więc powstały w nim szkody, a to z kolei sprawia, że częściej tracę przytomność i po prostu upadam na podłogę.

Z tego powodu codziennie otrzymuję jeden zastrzyk. Jestem gotowy na śmierć. Jednak mając 85 lat, można i trzeba być bardzo zadowolonym. Bóg obficie pobłogosławił moje życie. Teraz daje mi czas, abym się dobrze przygotował na śmierć. (...)

Módlmy się:

Boże, nasz Ojczy, bez Ciebie nie możemy uczynić nic z tego, co nam i innym do zbawienia ofiarowałeś.

Wylej na nas Twojego Ducha, abyśmy w miłości razem szukali prawdy, abyśmy ani na jotę nie odrzucili Twojej świętej woli, ale również nie nakładali na siebie i innych żadnych zbytecznych ciężarów. Pomóż nam tak wyłożyć Twoje święte prawo miłości i sprawiedliwości, aby wszyscy ludzie dobrej woli mogli zrozumieć słowo Twojego Syna, który stał się człowiekiem: „Moje jarzmo jest słodkie, a brzemień lekkie”.

Daj, abyśmy w sporze miłości nie ranili.

Pomóż nam być wdzięcznym za posługę – Urząd Piotrowy w Kościele, także wówczas, gdy – jak w swoim czasie apostoł Paweł – wnosimy pewne istotne zastrzeżenia.

Obdarz nas wszystkich w Kościele wzajemnym zaufaniem, bez lizusostwa, w duchu wolności i odwagi oraz absolutnej uczciwości.

Tak prosimy przez Chrystusa, naszego Pana.

Amen

[z książki *Meine Erfahrung mit der Kirche*].